

FLASH BANG #1

EKSPLOZJA *na trzy* SERCA



MEGHAN MARCH

Tytuł oryginału: Flash Bang (Flash Bang #1)

Tłumaczenie: Marcin Kuchciński

ISBN: 978-83-289-0148-3

Copyright © 2014 Flash Bang by Meghan March LLC.

All Rights Reserved.

Polish edition copyright © 2024 by Helion S.A.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://editio.pl/user/opinie/ciefb1>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

ROZDZIAŁ 4.

Warta obserwacyjna jest najnudniejszą robotą pod słońcem. Przed wydarzeniami ostatniego tygodnia Graham nie robił już tego od wieków. Cóż, jeszcze jeden powód, dla którego warto dowodzić. Żadnych gównianych zadań. Ale po awarii sieci energetycznej wszyscy mieszkańcy osady Castle Creek Whitetail musieli na zmianę obserwować okolicę. Wszyscy, bez wyjątków. Co oznaczało, że Graham musiał odsiedzieć swoje. Nie było zmiłuj się. Nie przyzaledwie dziesięciu mężczyznom w wiosce, z których trzech lub czterech musiało nieustannie trzymać wartę. Patrolowanie terenu o powierzchni dwustu pięćdziesięciu hektarów, nawet jeśli cały otoczony był trzymetrową siatką, nie było łatwe. W samym środku poprzecinanych strumieniami lasów, wzgórz i pól kryła się osada myśliwska — całkiem luksusowa, nawet jeśli dość rustykalna. Dzięki wprowadzonemu przez siebie systemowi zabezpieczeń i kilku dobrze przemyślanym pułapkom czuli się tu bezpiecznie. Graham wiedział jednak, że nie mogą niepotrzebnie ryzykować. Szczególnie w tej sytuacji — sześć dni największego rozpierdólnika, jaki ktokolwiek widział w całej historii starych, dobrych Stanów. Mieszkańcy krajów Trzeciego Świata mogli być przyzwyczajeni do braku prądu i bieżącej wody, ponieważ albo (a) byli zbyt biedni, by w ogóle mieć prąd i bieżącą wodę, albo (b) ich domy zostały zbombardowane i po prostu nie mieli już dachu nad głową. Przeciętny amerykański obywatel był zbyt miękki. Nienawykły do życia bez luksusów, które stały się tak powszechne, że nikt już o nich nie myślał na co dzień. Jasne, 11 września wszyscy oglądali zawalenie się dwóch wież, ale robili to na dużym ekranie kolorowego telewizora, siedząc w swoich bezpiecznych salonach. Graham mógł tylko wyobrazić sobie chaos, jaki musiał wybuchnąć w całym kraju w ciągu ostatnich sześciu dni — jeśli faktycznie cały kraj został dotknięty tym, co zdaniem jego i jego zespołu było efektem impulsu elektromagnetycznego. Nieznane pozostało źródło tak wielkiego uderzenia skumulowanej energii elektromagnetycznej, które przeciężyło sieć elektryczną i uszkodziło wszystkie niezabezpieczone

urządzenia elektroniczne. Przyczyną mogła być bomba atomowa zdetonowana gdzieś wysoko nad przestrzenią powietrzną USA lub rozbłysk słoneczny, który w końcu nie ominął naszej planety. Radio krótkofalarskie, przy którym nieustannie coś kręcił Ty, przez większość czasu milczało. W ciągu ostatniego tygodnia udało się złapać tylko kilka transmisji, co nadawało terminowi „cisza radiowa” zupełnie nowe znaczenie. A każda z tych przechwyconych rozmów potwierdzała tylko to, czego się obawiali: prądu nie było nigdzie.

Wszystkie dotychczasowe warty Grahama były nudne jak flaki z olejem, ale tej nocy najwyraźniej coś się szykowało. W punkcie dowodzenia rozległ się sygnał alarmowy — jedna z czujek na zewnętrznym obwodzie, czterdzieści pięć metrów za płotem, wykazała czyjąś obecność. Dowódca zmiany powiadomił już wartowników i wszyscy byli w pogotowiu. Graham wspiął się na drzewo, które służyło im za punkt obserwacyjny.

Wycelował noktowizor dołączony do lufy karabinka M4 w przerwę między drzewami, skąd dobiegł trzask gałęzi i chrzęst liści. Ten, kto uruchomił czujkę i zmierzał w stronę ogrodzenia, nie próbował się skradać. Przeciwnie — przeźdierał się przez poszycie lasu jak postrzelony jelen. Albo to był jakiś kompletny idiota, albo nie miał pojęcia, że biegnie prosto na ogrodzenie.

Nagle z zarośli, tuż przed płotem, wyskoczyła postać. Graham wycelował i oparł palec na spuście. Włosy spięte w kucyk. *Cholera*. Kobieta. Zdjął palec z języczka, ale nadal miał ją na celowniku. Był w wojsku wystarczająco długo, by wiedzieć, że kobiety nie zawsze są tak niewinne, na jakie wyglądają. W swoim życiu widział już kilka dam, które opasane ładunkami wybuchowymi wyskakiwały z ukrycia, mając nadzieję na zabranie ze sobą w zaświaty jak największej liczby amerykańskich żołnierzy. Kobiety bywały też dobrą przynętą. Ta, którą widział w swoim celowniku, nie patrzyła pod nogi, co musiało skończyć się upadkiem. Mocnym. Nie podniosła się.

Graham uważnie zlustrował linię drzew za nią. Nikogo.

— Cel około osiemnastu metrów od ogrodzenia na południowym zachodzie. Widzę jedną osobę — poinformował przez krótkofalówkę kolegów. — Prawdopodobnie ranna. Zostaję na pozycji.

Patrzył, jak kobieta przewraca się na bok, wyraźnie starając się nie nadwyrężyć lewej nogi.

— Cofam wyraz „prawdopodobnie”. Kobieta z całą pewnością jest ranna.

— Powiedz to jeszcze raz? Mamy biegającą po lesie kobietę? — Głos Jonaha rozległ się w słuchawce Grahama.

— Potwierdzam. Kobieta. Albo jakiś mały facecik z cyckami i kucykiem — zawyrokował Graham.

Przeniósł palec z powrotem na spust, gdy kobieta zdjęła plecak. Czyżby sięgała po broń? Wyciągnęła z plecaka mniejsze zawiniątko... Tak, to był zestaw pierwszej pomocy. Okej. Więc albo to pułapka i jest przynętą, albo faktycznie potrzebuje pomocy.

— Ponownie zewnętrzny czujnik na południowym zachodzie. Ten sam co wcześniej. Jest ich więcej. Odbiór — zgłosił Jamie, który był na dyżurze w punkcie dowodzenia.

Mógł to być przypadek, druga część zastawionej na nich pułapki albo powód, dla którego ta kobieta pędziła przez las, jakby goniło ją stado wilków. Graham nie wierzył w przypadki.

— Przyjąłem. Idę po obiekt. Czy ktoś może mnie osłaniać? — spytał. Ratowanie damy w opalach było bardziej w stylu Zacha, ale Graham uznał, że to tak samo dobry moment na zdobycie sprawności frajera jak każdy inny. Może i był kutasem, ale ta kobieta naprawdę biegła, jakby na szali postawiono jej życie. Podejmował ryzyko, ale skalkulowane. Przecież zawsze mógł ją zabić, gdyby okazała się jednak pułapką.

— Jesteś pewien, G? — spytał Jonah. — Może być przynętą. Albo kłusowniczką.

— Nie jestem idiotą — odpowiedział Graham. — Podjąłem decyzję. Idę. Jeśli się martwisz, kryj mnie. Maksymalnie za kwadrans będę z powrotem. Niech ktoś na ten czas przejmie moje stanowisko.

Graham zszedł z drzewa po wbitych w nie kołkach i skierował się w stronę dobrze zamaskowanej furtki w ogrodzeniu.

Misja ratunkowa lub poważny błąd. Szanse — pół na pół. Uważał jednak, że poradzi sobie w obu tych scenariuszach.

ROZDZIAŁ 5.

Dłoń, która zacisnęła się na ustach Ro, zatrzymała jej krzyk i dopływ powietrza. To była naprawdę duża dłoń. Zakryła połowę jej twarzy. Właściciel ręki wyszeptał jej prosto do ucha:

— Teraz podniosę cię, a ty nie będziesz próbowała robić żadnych numerów. Nie szarp się i nie próbuj uciekać. A kiedy odsłonię ci usta, nie będziesz krzyczała. Rozumiesz, kobieto?

Głos był głęboki i dobiegał z tak bliska, że Ro bardziej go czuła, niż słyszała. Z ciemności wyłoniła się druga dłoń i sięgnęła po nóż, którego dziewczyna nie zdążyła wyjąć z pochwy. Była więc teraz oficjalnie pojmana i rozbrojona.

On jednak chciał mieć jakiś dowód na to, że go rozumie, bo odciągnął jej głowę na bok, aby nawiązać z nią kontakt wzrokowy. Choć już wcześniej świeży zapach mężczyzny dał jej pewność, że to nie może być rudowłosy zbir, to widok ciemnych oczu i twarzy umazanej farbą maskującą przyniósł ulgę. Przynajmniej na chwilę. Mężczyzna odezwał się bowiem ponownie.

— Pytałem, czy rozumiesz — powtórzył, a w jego głosie słychać było irytację. Znow zaczęła się bać. — Kiedy zabiorę rękę z twoich ust, masz je trzymać zamknięte jak grzeczna dziewczynka. Jasne?

Ro nie wiedziała, jak ma odpowiedzieć, skoro nie była w stanie nawet *oddychać*. Potrząsnęła nią, jakby próbował zwrócić na siebie jej uwagę. Jakby już jej nie miał.

— Jasne? — Jego niski głos zamienił się w warczenie.

Ro niczego nie *rozumiała* i nic nie było dla niej *jasne*. Ten facet mógł być jeszcze gorszy od tamtej obrzydliwej trójki. Po sześciu dniach wyczerpującego marszu, scenie, której była świadkiem niecałą godzinę temu, przy bólu promieniującym z kostki i dupku, który wyszczeniwał rozkazy, Ro dotarła do swojej granicy wytrzymałości. Instynkt przetrwania podpowiadał jej walkę. Postanowiła rzucić się w tył i uderzyć go głową. MMA w czystym wydaniu. Kłasy czny brudny cios.

Coś w napięciu mięśni musiało zdradzić zamiary Ro, bo zanim jej głowa zdążyła zderzyć się z jego nosem, dłoń na ustach się zacisnęła, a na potylicy poczuła drugą rękę, unieruchamiającą głowę w żelaznym uścisku.

— Mógłbym skrócić ci kark w ułamku sekundy. Nie mam czasu tu się z tobą bawić. Idziemy. — Nie czekając na odpowiedź, zarzucił ją sobie na plecy jak worek paszy. Wisząc głową w dół, widziała, że podnosi jej plecak i przewiesza go sobie jednym paskiem przez drugie ramię. Znieruchomiał na chwilę, po czym ruszył w tym samym kierunku, w którym biegła Ro, zanim zaryła twarzą w leśną ściółkę.

Najwyraźniej ten Conan Barbarzyńca, jak nazwała go w myślach, lubił bawić się kobietami. Bóg jeden wie jaki planował zgotować jej los. *Dlaczego nie stawiam oporu? Naprawdę zamierzam ulec mu bez walki?* Ro zastanawiała się przez chwilę, czy nie wbić mu łokcia w plecy, ale zaraz przypomniła sobie groźbę skręcenia karku.

Pieprzyć to. Czy jej sytuacja naprawdę mogła się jeszcze bardziej pogorszyć? Przecież właśnie przed chwilą dodała porwanie do listy swoich życiowych doświadczeń.

Po tej konstatacji walnęła go łokciem w plecy — najmocniej, jak potrafiła. Jego mięśnie okazały się twarde niczym betonowe płyty. Nawet nie zwolnił. Nawet nie wyrzucił z siebie mocniejszego wydechu. Poczucie bezradności zaczęło w niej szybko narastać. Była zdeterminowana, by przy drugiej próbie już coś poczuł. Wbiła łokieć między jego łopatki i wydawało się jej, że usłyszała ciche sapnięcie.

Właśnie gratulowała sobie przynajmniej umiejętności trafiania, gdy duża i twarda dłoń spadła szerokim łukiem na jej tyłek.

Conan właśnie dał jej klapsa! *O nie, do licha.* Uderzenie, zamiast uspokoić Ro, rozgrzało ją do białości. Nikt nie odważył się dać jej klapsa w pośladek, odkąd kubek niekapek przestał być jej ulubionym naczyniem na napoje. I Conanowi Barbarzyńcy z pomalowaną kamuflażem twarzą nie ujdzie to na sucho. Ro zamarzyły się akrylowe pazurki — podobne do tych, które były atrybutem Diaboliny. Którymi ta zdzira Evelyn przesunęła po policzku Ro w tak przerażający i obleśny sposób, że omal nie doprowadziła do wymiotów. Na to wspomnienie Ro przebiegł dreszcz. *Skoncentruj się na teraźniejszości. Wcale nie jestem taka bezbronna. Nie byłam wtedy i nie jestem teraz.* I z tym przekonaniem Ro zrobiła kolejną najlepszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy. Ugryzła go.

— Kurwa! — Graham chciał wrzasnąć, ale słowo to opuściło jego usta jedynie jako niski pomruk. Był na akcji i bezpieczeństwo operacji wymagało zachowania ciszy. Ta suka, jej kościste łokcie i wampirze kły nie mogą zakłócić prostej misji.

Ponownie wymierzył klapsa w ten mały, krągły tyłeczek. Tym razem mocniej. Pisnęła i znów dźgnęła go w plecy jednym z tych jej spiczastych łokci. Tyle dobrze, że z zębami wbitymi w jego plecy nie mogła krzyknąć. Ugryzienie było dość bolesne, nawet jeśli Graham nigdy by się do tego nie przyznał. Możliwe, że powinien być bardziej wkurzony z powodu śladu, jaki niewątpliwie zostawią jej zęby, ale trudno było mu tak do końca potępiać dziewczynę, która była prawdopodobnie cholernie przestraszona, a jej umysł szalał, wahając się między walką a ucieczką. Nie trzeba mieć wielkiego doświadczenia w walce, by dobrze poznać mechanizmy instynktu przetrwania. Iluż to żołnierzy, którzy po raz pierwszy znaleźli się na linii frontu, brało nogi za pas po pierwszych odgłosach ostrzału? Ilu schylało głowy, gdy pociski moździerzowe gwizdały nad nimi? Graham widział ich zbyt wielu, by zliczyć.

Mimo to nie był fanem śladów cudzych zębów na plecach. Zadrapania od paznokci podczas zabawy w trójkącie? Całkowicie do przyjęcia. Ale ślady ugryzienia, w dodatku przez materiał munduru? Nie, bez tego mógłby się obyć. Brudne myśli obudziły małego. Ten cholerny kutas albo nie wiedział, albo nic go nie obchodziło, że środek akcji nie jest najlepszym momentem na wstawanie i zwracanie na siebie uwagi. Graham prześliznął się z powrotem przez furtkę. Zatrzymał się, obrócił i zarygłował ją za sobą.

Teraz mógł już przyspieszyć. Żwawym klusem skierował się w stronę ogrodzonego kompleksu mieszkalnego, który zlokalizowany był w południowo-zachodnim rogu całego rancza. Tempo biegu sprawiło, że kobieta przestała walczyć i sama zaczęła się mocniej trzymać jego pleców. Graham nie miał pojęcia, co robiła w pobliżu ogrodzenia, ale miał cholerną ochotę się tego dowiedzieć.

ROZDZIAŁ 6.

Ze swojego odwróconego do góry nogami punktu obserwacyjnego na plecach Conana Ro patrzyła, jak jakiś mężczyzna zamyka, rygluje i blokuje małe drzwiczki przypominające drzwi do bunkra w gigantycznej stalowej ścianie zwieńczonej drutem kolczastym. Drzwi zamknęły się cicho, ale dla niej równie dobrze mogły zatrzasnąć się ze zgrzytem, jak drzwi celi. Panika znów zaczęła w niej narastać i Ro wznowiła próby wyzwolenia się.

Tym razem sięgnęła także po swoje walory wokalne.

— Puść mnie! No puszczaj! Auć... — Krzyki Ro zostały ucięte w momencie, gdy jej wciąż piekący tyłek wylądował na ławce stołu piknikowego.

Conan natychmiast przystawił twarz do twarzy dziewczyny.

— Nie ty wydajesz tu rozkazy. A dopóki nie odpowiesz na moje pytania, nie ruszysz się stąd ani na krok.

Ro już otwierała usta, by zabłysnąć jakąś ciętą ripostą, ale je zamknęła, uświadamiając sobie, że coś zbyt wyraźnie widzi rysy jego pomalowanej twarzy. Sztuczne światło. Od tygodnia nie widziała żadnych działających świateł i ten widok naprawdę ją zaskoczył. Niesamowite, jak szybko rzeczy, które kiedyś uważała za zupełnie oczywiste, teraz wydawały jej się dziwne. Ale wróćmy do twarzy, którą miała przed sobą. Kucający przed nią mężczyzna wyglądał jak pełnowymiarowa wersja zabawki G.I. Joe. Ba, był większy niż Channing Tatum, który wcielił się w jedną z takich wersji. Teraz Ro mogła z bliska docenić kunszt kamuflażu — brązowe, czarne i szare plamy pokrywały przystojną twarz, a czarna koszulka z długim rękawem uwypuklała jego szerokie ramiona. Był od niej chyba dwa razy większy. Ogromne bicepsy i świetnie zarysowane mięśnie klatki piersiowej na chwilę rozproszyły uwagę, ale lufa karabinu skierowana w jej stronę ponownie pozwoliła jej się skoncentrować. M4, krótsza, bardziej kompaktowa wersja M16, o ile dobrze pamiętała wykłady ojca. Czy Ro przeskakiwały z broni na jego twarz i z powrotem. Jej myśli gorączkowo pracowały nad planem, po który mogłaby sięgnąć, gdyby ten olbrzym

zdecydował się wystrzelić trzydziestonabojoy magazynek w jej kierunku. *Nie nie przychodziło jej do głowy. Nie było ani jednej cholernej rzeczy, którą mogłaby zrobić, gdyby stała się jego celem ćwiczebnym.* A wyraz twarzy mężczyzny nie dawał absolutnie żadnej pewności, że nie zamierza tego uczynić. Tymczasem jego przenikliwe ciemne oczy systematycznie katalogowały wszystkie szczegóły jej wyglądu. Dochodząc do wniosku, że najlepiej będzie stanowić jak najmniejszy cel, Ro objęła się ramionami i skurczyła tak mocno, że krawędź stołu piknikowego wbiła jej się w kark.

Conan zmarszczył brwi, jakby był zaskoczony jej zachowaniem. Powiódł za wzrokiem Ro w kierunku karabinu, po czym ponownie spojrzał na nią i uniósł jedną brew.

— Rozumiesz chyba, że nie zamierzam cię zastrzelić — stwierdził z sardonicznym uśmiechem.

Ro nie potrafiła powstrzymać się przed dodaniem w myślach słów „na razie”.

Doszła do wniosku, że nadszedł czas, by podnieść czoło, pokazać, że też ma jaja, i przestać zachowywać się jak przestraszona mała dziewczynka. A kiedy decyzja została już podjęta... nie była w stanie opanować swojego ostrego języka.

— Nie, wcale nie jestem pewna, że nie zamierzasz mnie zastrzelić, skoro trzymasz lufę skierowaną prosto w moją twarz. A po twoich uwagach na temat możliwości skręcenia mi karku, odniosłam takie dziwne wrażenie, że moje dalsze oddychanie wcale nie jest dla ciebie priorytetem. — Wytrzymała jego spojrzenie, nie chcąc okazać słabości lub strachu.

Czy nie tak właśnie postępuje się z dzikimi zwierzętami — patrzy się na nie tak długo, aż zrozumieją, że się ich nie boisz? A może przeciwnie, właśnie tego nie należało z nimi robić? Kolejna sytuacja, w której studia prawnicze dowiodły braku praktyczności. Nie nauczyły jej, jak patrzeć na gigantycznego, pokrytego kamuflażem mężczyznę, który trzyma karabin szturmowy z taką swobodą, jakby był częścią jego codziennego ekwipunku. Mężczyznę o nieco zbyt długich, ciemnobrązowych włosach, które zakręcały mu się nad uszami i u nasady szyi, sprawiając, że wyglądał niewiarygodnie seksownie.

Chwila. Co?

Ro musiała porządnie uderzyć się w głowę podczas upadku. To było jedyne logiczne wyjaśnienie tej dziwacznej myśli.

Wstał i oparł karabinek o słup podtrzymujący dach ganku, pod którym stał stół piknikowy. Zabezpieczył broń i ponownie kucnął naprzeciwko niej.

— Słuszna uwaga.

Wydawało się, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale właśnie w tym momencie wysoki, niemal tak samo szeroki w barach mężczyzna, o długich, złocisto-brązowych włosach, usiadł obok niej na ławce, jakby byli rozłączonymi przez los przyjaciółmi.

— Nie bój się, laleczko. On jest tylko taki mocny w gębie. Nie ugryzie, chyba że o to poprosisz. Chyba.

Jego akcent był mocny jak tania whiskey z Tennessee. Wyciągnął dłoń w jej stronę.

— Jestem Zach. Zachariah Sawyer.

Ro odruchowo wyciągnęła rękę. Zbyt głęboko wpojony nawyk, by mogła mu nie ulec. *Bo tak właśnie się robi, gdy ktoś podaje ci dłoń. Potrzęsa się nią. Nawet jeśli bierzesz udział w koszmarnym końcu świata, a mężczyzna podający ci rękę jest naprawdę przystojny.*

Dobry Boże. Gdzie ona była?

A on, zamiast potrząsnąć jej dłonią, podniósł ją do ust i pocałował. Zrobił to jednym płynnym ruchem, którego nie byłby w stanie wykonać żaden mężczyzna żyjący w innym niż dziewiętnasty wiek, nie wyglądając przy tym na kompletnego dupka. Natomiast w jego wykonaniu było to naprawdę seksowne. I tak też to odebrała. W dole jej brzucha zaczęło powoli wirować ciepło. *Serio? Moment bardziej niż nieodpowiedni.*

Jego oczy również przywodziły Ro na myśl whisky. Złocistobursztynowe i płonące czymś, co wyglądało na zainteresowanie; jakby wiedział, jakie wrażenie robi na kobietach. Czar chwili został przerwany pełnym poirytowania chrząknięciem.

— Sawyer, jeśli skończyłeś już ją sobie oglądać i straszyć swoją facjatą, to chciałbym zadać jej kilka pytań.

Zach rzucił Conanowi bandanę i oparł się ramieniem o stół piknikowy, tuż za plecami Rowan.

— Zmyj farbę z twarzy, G, i wyluzuj. Ja się tylko zapoznaję. — A przenosząc spojrzenie z powrotem na nią, spytał: — Jak masz na imię, laleczko?

Ro odsunęła się od Zacha i chwyciła w myślach za swe kobiece jaja, starając się, by jej głos brzmiał dostatecznie ostro.

— Z całą pewnością nie jestem żadną pieprzoną laleczką. Mógłbyś się ode mnie trochę odsunąć?

Conan parsknął śmiechem, a przynajmniej tak właśnie Ro odebrała dźwięk, który z siebie wydał.

Wycierał bandaną twarz tak sprawnie, jakby robił to co najmniej milion razy. *Kim oni są?*

Zaskoczyła ją twarz, która wychynęła spod warstw farby. Szerokie czoło, ostre kości policzkowe i mocna, kwadratowa szczęka pokryta ciemnym, kilkudniowym zarostem. Gdyby zobaczyła go w garniturze, mijającego ją gdzieś na ulicy Chicago, miałaby spore szanse na osiągnięcie spontanicznego orgazmu. *Serio, kim oni są?*

— Jak masz na imię, dziewczyno? Dlaczego jesteś sama i pędziłaś przez las, jakby gonił cię sam diabeł? — spytał Conan.

To ostatnie porównanie nie było dalekie od prawdy i wspomnienie tamtej pobitej kobiety, z nożem przytkniętym do szyi, wróciło w ułamku sekundy. Ro się wzdrygnęła i spróbowała poruszyć stopą, ale kostka znów zaczęła ją boleć jak cholera. Zacisnęła powieki, próbując odsunąć od siebie nieprzyjemne obrazy i ból. Wstyd, że na chwilę zapomniała o tamtej kobiecie, palił bardziej niż kostka.

— Jestem Rowan. Nie jestem dziewczyną ani laleczką, ani niczym innym. Możesz ewentualnie nazywać mnie Ro, o ile nie jesteś totalnym dupkiem. A pędziłam przez las, zupełnie sama i w środku nocy, bo nie miałam innego wyboru. Albo to, albo zostałabym branką trzech przerażających, obleśnych wieśniaków. Albo byłabym już martwa. — Ro wcale nie miała pewności, czy ostatnia opcja nie byłaby lepsza od tej drugiej.

— Jakieś szczegóły? — spytał Conan, tym razem unosząc obie brwi.

Ro nie mogła wymyślić żadnego powodu, dla którego nie powinna zdradzać więcej szczegółów, i opowiedziała im, co widziała w obozowisku tamtych dzikusów. Wypełniło ją poczucie winy. Nie zrobiła *nic*. Do oczu napłynęły gorące, szczypiące łzy.

— Po prostu zostawiłam ją tam i uciekłam.

Zach przysunął się do niej i objął ją swoim ramieniem. Z jakiegoś powodu tym razem nie odsunęła się od niego.

— To zrozumiałe, Ro. Co taka mała laleczka mogła zdziałać przeciwko trzem dorosłym chłopom? To najlepsza rzecz, jaką mogłaś w tej sytuacji zrobić.

Ro spojrzała na niego, jakby nie do końca rozumiała, o co mu chodzi. Zach się uśmiechnął i doprecyzował:

— Przybiegłaś prosto do nas.

* * *

Ta dziewczyna, *Rowan*, spojrzała na niego, później na Grahama, a potem znów na niego i spytała:

— A wy kim jesteście? I gdzie ja, do diabła, jestem? — Zniknęła cała jej wcześniejsza bojowość i teraz miał przed sobą po prostu młodą, zagubioną kobietę. Rozglądała się dookoła i w bladej poświacie lamp solarnych Zach widział, że próbuje zorientować się w otoczeniu.

Już miał zamiar odpowiedzieć na jej pytania, gdy Graham się odezwał:

— Dowiesz się wszystkiego, ale dopiero wtedy, gdy my będziemy zadowoleni z twoich odpowiedzi. Mnie ta twoja historyjka jakoś nie przekonuje.

Jej buńczuczne nastawienie natychmiast wróciło. Zach nie do końca rozumiał Grahama. Z relacji Ro wynikało, że niefortunnie wpadła w łapy ich nieokrzesanych sąsiadów. Już od lat Jonah opowiadał reszcie zespołu o dziwnej rodzinie, która mieszka niedaleko ich rancza. Podejrzewał, że zajmują się produkcją i rozprowadzaniem metamfetaminy, bo jakoś innych źródeł dochodów nie można było u nich dostrzec.

— Myślisz, że moja historia to bzdura? W takim razie pójdz tam po nią i sam się przekonaj. No dalej, pokaż jaki z ciebie Rambo. Szybko się przekonasz, że *do kurwy nędzy, nie kłamię*.

Okej, a więc ktoś ma tu ewidentny problem z oskarżeniem o kłamstwo. *Ciekawe*. Ale Graham był prawdziwym twardzielem. To było wpisane w jego DNA. Dzięki temu od sześciu lat był tak dobrym dowódcą zespołu Force Recon — oddziału operacji specjalnych Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych Ameryki. Wiedział, że najpierw trzeba coś zobaczyć na własne oczy, żeby w to uwierzyć. Zach nie dysponował faktami, na których mógłby oprzeć swoje wnioski, ale przeczucie mówiło mu, że dziewczyna nie kłamię. Wyglądała na szczerze przybitą tym, że zostawiła na pastwę losu nieznaną kobietę, ponieważ nie miała najmniejszych szans w starciu z trzema uzbrojonymi osiłkami. Taką reakcję trudno byłoby zagrać. Zach wiedział, że Graham nie

zostawi niczego przypadkowi. Bezpieczeństwo rancza było najważniejsze. Przesłuchanie obiektu to dopiero początek.

— G — powiedział stanowczo Zach, rzucając Grahamowi twarde spojrzenie. — Pytania mogą chwilę poczekać.

Nieczęsto się zdarzało, aby Zach sprzeciwiał się rozkazom Grahama, szczególnie że kiedyś mogło to być uznane za zwykłą niesubordynację, ale w tym przypadku było trochę inaczej. Dziewczyna wciąż wyglądała na przerażoną i najwyraźniej cierpiała, krzywiąc się przy każdym gwałtowniejszym ruchu.

Graham odczytał w spojrzeniu Zacha wyraźne „wyluzuj trochę”, na co odpowiedział wzrokiem mówiącym: „Jeśli coś pójdzie nie tak, zapiszę to na twoje konto”. Ale wymiana spojrzeń poskutkowała tym, że Graham faktycznie się cofnął i usiadł przy stole piknikowym stojącym równolegle do tego, który zajmowali Rowan i Zach.

— Jesteś ranna, skarbie? — Zach uklęknął przy dziewczynie, ostrożnie unosząc jej stopę. Skrzywiła się.

— Nie sędzę, żeby była złamana. A przynajmniej taką mam nadzieję. — Brzmiało to tak, jakby panikowała na samą tę myśl.

Zach usłyszał, jak Graham mówi do krótkofalówki:

— Beau, potrzebuję cię w kantynie. ASAP.

— Przyjąłem. Już idę — odpowiedział po kilku sekundach lekarz oddziałowy. Jako że Beau służył w marynarce wojennej, był jedynym dokooptowanym z zewnątrz członkiem ich oddziału marines. Ponieważ jednak skończył studia medyczne jeszcze przed wstąpieniem do marynarki i nieraz też ratował im tyłki, nie mieli mu tego faktu za złe.

Graham wstał i rzucił Zachowi długie, twarde spojrzenie.

— Dopóki nie wrócę, nigdzie jej nie przenoś.

* * *

Ro patrzyła, jak mężczyźni wymieniają spojrzenie, które spokojnie zastąpiło im całą dłuższą rozmowę. Obaj skinęli głowami, zanim Conan odszedł.

Ro poczuła ulgę. Oprócz kilku przelotnych chwil, w których wydawał się łagodniejszy, jego szorstkość całkowicie ją obezwładniała. Spojrzała na klęczącego przed nią Zacha. Był prawie tak duży jak Conan, ale nie roztaczał wokół siebie tej atmosfery „jestem duży, zły matkojebca i lepiej uważaj”. On też wyglądał

jak duży i zły matkojebca, ale w jakiś sposób wydawał się być bardziej przystępny. W sumie dziwne.

— Zaraz cię naprawimy, skarbeńko. O nic się nie martw — powiedział, uśmiechając się do niej. *Tak, zdecydowanie bardziej przystępny.*

— Nie mną powinniście się teraz zajmować. Ta druga kobieta... — Ro zawiesiła głos, odtwarzając w myślach scenę, której była świadkiem. — Musicie ją uratować. Zrozum... Oni byli... naprawdę obłąkani... i to, jak ją traktowali... — Potrząsnęła głową, a żołądek aż jej się skręcił na to wspomnienie.

Zach chwycił jej łydkę swoją wielką dłonią.

— Maleńka, na chwilę wyrzuć to z głowy. Zajmiemy się tym.

Ro zdawała sobie sprawę z tego, że próbuje ją uspokoić, bo uznał, że zaraz znów może wybuchnąć. Całkiem trafna ocena sytuacji.

— Naprawdę...

Zach nie dał jej dokończyć, tym razem bardziej surowym tonem:

— Posłuchaj mnie. W tej sytuacji nie mogłaś zrobić absolutnie nic i miałaś mnóstwo szczęścia, że twój mały tyłek dotarł aż tutaj w jednym kawałku i bez żadnych dodatkowych dziur.

— Ale...

— Cholera, kobieto, naprawdę zamierzasz się ze mną kłócić? Zapomnij o tym. Lepiej martw się teraz o siebie.

Najwyraźniej Zach wcale nie był tak przystępny, jak jej się zdawało. Ro znów zrobiło się ciężko na sercu. Straciła nadzieję, że ci umięśnieni faceci natychmiast pobiegną, by pomóc tamtej kobiecie. To za bardzo przypominałoby film. W prawdziwym życiu mężczyźni rzadko bywali tak szlachetni.

Ro oparła się o stół piknikowy i odwróciła wzrok od Zacha. Otoczenie, w którym się znajdowała, sprawiło, że szybko zapomniała o swoim rozczarowaniu osobnikami z penisami. Światło z lamp solarnych było przyćmione i z pewnością niewidoczne zza litego ogrodzenia, tym bardziej że gałęzie olbrzymich dębów i sosen amerykańskich rozpościerały nad ich głowami gęsty baldachim. Wśród drzew stały drewniane budynki kompleksu, które, choć rustykalne w stylu, robiły na Ro wrażenie. Uderzenie torby o ziemię skierowało jej uwagę z powrotem na mężczyznę — poprawka, teraz już na mężczyzn — przed nią.

Pierwsze, co zauważyła, to przeszywające niebieskie oczy, oceniające ją spod czarnych brwi. Równie czarne włosy były krótko ścięte — zawsze to jakaś

odmiana od kudłatych czupryn Conana i Zacha. Facet się nie uśmiechał, co tylko podkreślało jego i tak już ostre kości policzkowe.

Przez jakąś minutę mierzyli się z Ro spojrzeniami, po czym zwrócił się do Zacha:

— Czego ode mnie chcesz, Sawyer? — Wydawał się zirytowany. Jakby przerwano mu oglądanie meczu ulubionej drużyny. W dogrywce. Tyle że aktualnie nie odbywały się żadne mecze, nie było już żadnych drużyn i żadnych dogrywek. Ro była tego cholernie pewna. Więc w czym mu przeszkodzili? W sesji bara-bara? Naprawdę nie musiał robić takiej zdegustowanej miny. Przecież nie przyszła tu z własnej woli. Ro miała już tego wszystkiego po dziurki w nosie. Zach chyba wyczuł jej szybko narastającą frustrację, bo ścisnął lekko łydkę dziewczyny i odsunął się na bok.

— Beau, poznaj Rowan. Rowan, to jest Beau. — Beau skinął głową w jej stronę, ale oprócz tego wyglądał na całkowicie niezainteresowanego jej obecnością. — Rowan skrzyła kostkę i byłbym ci wdzięczny, gdybyś mógł rzucić na to okiem.

Beau, bez słowa i większej ceremonii, przykucnął przy niej.

— Która noga? — spytał, nie podnosząc na nią wzroku.

— Lewa. — Ro się cofnęła, gdy sięgnął do jej kostki.

— Kochanieńka, nic się nie bój. Beau w mig ją naprawi — zapewnił Zach.

— Wygląda, jakby wołał mi ją amputować niż zrobić okład z lodu — zauważyła hardo Ro.

Beau w końcu się uśmiechnął.

— Rzeczywiście mam na stanie niezłą piłę do amputacji, ale myślę, że tej nocy mi się nie przyda. — Podniósł wzrok na Ro. — Zdjęcie tego buta będzie bolało. Postaram się zrobić to delikatnie, ale cudów nie ma.

Ro sama już do tego doszła. Skinęła więc głową i tylko mocniej zacisnęła zęby, gdy Beau zaczął rozwiązywać jej but. Błyskawice bólu przeszły kostkę. Złapała mocno krawędź stołu piknikowego i zamknęła oczy. Próbowwała myśleć o siostrze i ojcu. Wyobrażała sobie, że czekają na nią w domu. Ciepła dłoń spoczęła na jej lewej ręce i ścisnęła lekko. Nie otwierając oczu, chwyciła się jej jak liny ratunkowej i zacisnęła, gdy zalała ją fala silniejszego bólu.

Chłodne powietrze owionęło spoconą skarpetkę. W końcu. But zdjęty. I skarpetka. Ro odetchnęła powoli i otworzyła oczy. Najpierw spojrzała w dół na Beau trzymającego jej kostkę, a następnie na dużą dłoń ze zrogowaciałym

naskórkim, która ścisnęła jej rękę. Zakładała, że właścicielem tej dłoni będzie Zach. Ale okazało się, że to... Conan. Wrócił bezszelestnie i z jakiegoś powodu... postanowił dać jej wsparcie? Ro była zaskoczona. Zdziwiona. A może przestraszona? Sama nie wiedziała. Cofnęła rękę, starając się na niego nie patrzeć.

— Jaki werdykt? — spytał Conan takim głosem, jakby faktycznie go to obchodziło. Co, zważywszy, że nie tak dawno groził jej śmiercią, też było dziwne. Sprawiał wrażenie typu, któremu przyjemność sprawia torturowanie ludzi.

Ro wciągnęła gwałtownie powietrze i skrzywiła się z bólu, gdy Beau zaczął poruszać jej kostkę. Conan ponownie chwycił jej dłoń i ból ustał.

— Nie sądzę, żeby była złamana. Może kość jest pęknięta, ale trudno będzie to stwierdzić bez prześwietlenia. A tego nie zrobimy. Najprawdopodobniej to tylko mocne skręcenie. Co by jednak nie było, przez kilka dni nie powinna obciążać tej stopy. Może dłużej. Niestety mam tylko trzy pary kul: takich staromodnych, drewnianych i zrobionych z myślą o facetach naszej postury. Nie da się ich regulować i będą dla niej zdecydowanie za duże. — Beau kierował słowa do Conana, jakby jej tu w ogóle nie było.

— Hej, jestem tutaj i byłabym wdzięczna, gdybyś to *mnie* informował o stanie mojego zdrowia. Dziękuję.

Beau spojrzał na Ro protekcjonalnie i powtórzył swoją diagnozę:

— Okej, *Rowan*. Sytuacja wygląda tak: masz skręconą kostkę. Nie obciążaj jej przez kilka dni, do tygodnia. Unieruchom ją sobie bandażem, co jakiś czas przykładaj lód i w miarę możliwości trzymaj w gorze. Rozumiesz?

Ro nie mogła się oprzeć wrażeniu, że potraktował ją jak kilkuletnie dziecko, które właśnie miało atak złości. Chociaż niczym nie zasłużył sobie na takie traktowanie, Ro nic nie mogła na to poradzić — dąsanie się najwyraźniej na dobre zagościło w repertuarze jej zachowań.

— I tak nigdzie się stąd nie ruszy. Więc to żaden problem. Opatrz jej tę nogę i przynieś okład z lodu. — To nie miało formy prośby. To zdecydowanie brzmiało jak rozkaz. Ro odtwarzała w myślach jego słowa. Hmm, no tak. Jej zdaniem *był* tu pewien problem.

— Eee, dziękuję, Conan, ale wystarczy mi opatrunek i lód. Jeśli jest tu jakieś miejsce, gdzie mogłabym się kimnąć przez noc, to świetnie, ale jestem pewna, że rano będę gotowa do dalszej drogi. Zmierzam gdzieś.

Zach parsknął ni to śmiechem, ni to kaszlem.

— To chyba najtrafniejsze przezwisko, jakie można byłoby mu nadać. Muszę to powtórzyć pozostałym.

Conan milczał przez dłuższą chwilę i z jego postawy wyczytała, że akurat on nie był specjalnie pod wrażeniem jej kreatywności. Podejrzenia Ro znalazły swe potwierdzenie, gdy powiedział do Zacha:

— Wiem, gdzie śpisz.

Czuła na sobie świdrujący wzrok Conana. Kiedy nie zaszczyciła go spojrzeniem, obsłużył się sam — wsunął palce pod jej podbródek i podniósł głowę dziewczyny.

— Zmierzasz gdzieś? Może podzieliłabyś się z nami informacją: gdzie.

Ro nie odpowiedziała od razu i chyba go to wkurzyło, bo mogłaby przysiąc, że widziała, jak drgnął mu mięsień w szczęcie. Wyrwała głowę z jego uścisku i spojrzała na Beau, chcąc poprosić go o ten okład z lodu. Nie zdążyła, bo Conan raz jeszcze złapał ją za brodę i odwrócił do siebie. Znów mierzyła się ze świdrującym wzrokiem brązowych oczu.

— Posłuchaj, kobieto. Jesteś w moim domu i masz odpowiadać na moje pytania. Wszystkie. Zrozumiałaś?

Już miała wybuchnąć — i to tak, jak tylko wybuchnąć może wkurzona kobieta — kiedy na ramieniu poczuła uspokajającą dłoń. Dłoń należała do Zacha.

— Może chciałabyś się najpierw trochę ogarnąć? Umyć? Cała jesteś w błocie.

Ro się opanowała. Perspektywa mycia wygrała z chęcią rozładowania emocji. Trzeba mieć jakieś priorytety.

Mimo to się starała, aby w jej głosie nie było słychać nadmiernej ekscytacji.

— Byłoby świetnie. Trochę wody i ręcznik papierowy powinny wystarczyć.

— Och, skarbie, mamy tu coś lepszego. Jeśli chcesz, możesz nawet wziąć porządny prysznic.

Prysznic? O tak, poproszę.

— Byłoby cudownie. — Mokre chusteczki, którymi wycierała się od sześciu dni, nie były najlepszym sposobem na utrzymanie higieny. Ro miała wrażenie, jakby pod warstwą świeżego błota kryła się skorupa brudu.

— Jak weźmie prysznic, skoro nie może stać, głupku? Jak ty to sobie wyobrażasz? — spytał Beau.

— Postawimy jej krzesło — odpowiedział niezrażony Zach. — Może wziąć prysznic na siedząco. Jasne, mówiłeś, że powinna trzymać nogę w górze, ale chyba wytrzyma jeszcze dziesięć minut, prawda? A ja chętnie jej pomogę.

Chrząknięcie zmusiło Zacha do spojrzenia na Conana.

— Ty musisz iść na wartę. Natychmiast.

— Nie mam dziś warty.

— Teraz już masz. Musiałem... Musiałem przesunąć niektóre zasoby do innych zadań i bierzesz zmianę Alexa.

Z zaciśniętych szczęk Zacha Ro wyczytała, że ma ochotę zaprotestować, ale z jakichś powodów tego nie zrobił. Musnął jej policzek dwoma palcami i powiedział:

— To na razie, laleczko. Miłej kąpieli.

Ro była tak podekscytowana perspektywą prysznica, że nawet nie zadała sobie trudu, by zrugać go za nazwanie jej „laleczką”.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

UWAŻAJ, KOMU UFASZ, BO STAWKĄ JEST TWOJE PRZETRWANIE!

Rowan Callahan była dumna ze swojej kariery, a jej jedynym problemem były fałszywe plotki utrudniające zawodowe życie. To wszystko jednak przestało się liczyć, kiedy po przerażającej katastrofie miastem zawładnęły chaos, ciemność i bezprawie. Oto nadciągnęła niezapowiedziana przez nikogo apokalipsa.

Rowan musiała uciekać z Chicago i znaleźć schronienie. Zabrała więc ze sobą plecak przetrwania, przygotowany przez ojca weterana, i ruszyła pieszo przez las w kierunku rodzinnej farmy. Po kilku dniach samotnej wędrówki znalazła się w niebezpieczeństwie i chociaż cudem udało jej się uciec, nie uniknęła poważnej kontuzji, która uniemożliwiła dalszy marsz. I wtedy pojawili się Graham i Zach.

Dwóch wysokich, silnych mężczyzn w mundurach, którzy ją ocalili, zapewnili jej schronienie i dali czas na wyleczenie.

Dopiero po kilku dniach Rowan się zorientowała, jakie wrażenie zrobiła na umundurowanych przystojniakach. I ona dostrzegła w nich coś nieodparcie pociągającego. Jeśli jednak chciała bezpiecznie dostać się do domu, potrzebowała ich pomocy i ochrony. Graham i Zach byli gotowi jej to dać, ale ich propozycja obejmowała coś nie do końca moralnego. Tymczasem coraz trudniej było oprzeć się pokusie, pożądanie między całą trójką narastało z każdą godziną. Tyle że poddanie się namiętności oznaczało duże ryzyko, a zaufanie niewłaściwym osobom mogło kosztować Rowan życie.

MEGHAN MARCH

Ma duszę nomadki. Porzuciła karierę prawniczki, aby spełnić największe marzenie i pisać gorące romanse. Dziś jest znana jako autorka bestsellerów z list „New York Timesa”, „Wall Street Journal” i „USA Today”. Wiedzie szczęśliwe życie w lasach na północno-zachodnim wybrzeżu USA z prywatnym samcem alfa u boku.

👁 CUTE
👁👁 SENSUAL
👁👁👁 SPICY
👁👁👁👁 DARK


EDITIO.PL

ebook dostępny na:
ebookpoint

ISBN 978-83-289-0148-3



9 788328 901483

cena: 44,90 zł